

Ruchy kontrkulturowe kiełkują nieustannie

Rafał Gawin: - „All You Need Is Love” gromadzi twoje teksty na temat szeroko rozumianej kontrkultury. Dlaczego takiego opracowania tematu nie było dotąd w Polsce?

Jerzy Jarniewicz: - No, nie. Trochę tych książek się pojawiło, że wspomnę pionierską monografię Aldony Jawłowskiej „Drogi kontrkultury”. Ukazała się wbrew czasom, bo był rok 1975, w epoce małej stabilizacji i propagandy sukcesu. Warto wymienić jeszcze dwie, równie wyjątkowe książki: „Hippisi w poszukiwaniu ziemi obiecanej” Kazimierza Jankowskiego oraz „Orient i kontrkultury” Stanisława Tokarskiego. Może nie było tego dużo, ale pamiętaj, że to jednak PRL. A potem zamiast kontrkulturą zajmowaliśmy się wyznawaniem religii wolnorynkowej, a zamiast Burroughsa czy Boba Dylana spolszczaliśmy Milтона Friedmana.

Na okładce znalazły się dwa tyłki, żeby nie powiedzieć - dwie gombrowiczowskie pupy. Czy można je odczytywać w kontekście dzisiejszych konserwatywnych przemian w Polsce, ba, w Europie i USA?

- Och, widzisz, ty zwróciłeś uwagę na nagie pupy, a myśmy z redaktorem Illgiem dali to zdjęcie, bo spodobały się nam plecy. Nagość to jeden ze znaków firmowych kontrkultury, o niejednoznacznym zresztą sensie. Kojarzy się odruchowo z erotyzmem, niektórym wręcz z pornografią, ale to też wyraz wiary w wagę tego, co bezpośrednie i autentyczne, a gdzieś w tle odzywa się tęsknota za kontaktem z naturą, może marzenie o powrocie do niewinnego dzieciństwa. Konserwatywne przemiany, o których mówisz, są, oczywiście, widoczne. Nie jest jednak tak źle, bo książka ze zdjęciem nagich hippisów mimo wszystko się ukazuje, i to w dużym, szacownym wydawnictwie. A jestem pewien, że jeszcze dwadzieścia lat temu ukazać by się nie mogła.

Jak kontrkultura ukształtowała ciebie i twoje pokolenie? Czujesz się jej synem?

- Jeśli do dziś nie mam samochodu, to pewnie wpływ kontrkultury. Jeśli tłumaczę i piszę książki, bo mnie cieszą, a nie dlatego, że dostają za nie marne grosze, to pewnie wpływ kontrkultury. Jeśli marzy mi się uniwersytet jako miejsce, gdzie można się bezinteresownie spierać, prześwieślać święte prawdy i zadawać pytanie „dlaczego?”, to pewnie wpływ kontrkultury. Jeśli wolę współpracę zamiast konkurencji, jeśli wolę wspólnotę zamiast hierarchii, jeśli wolę upijać się dobrym trunkiem niż władzą, to jest to też jakieś kontrkulturowe dziedzictwo. A skoro pytasz o koligacje, odpowiem: synem kontrkultury nie jestem, bo urodziłem się, zanim przyszła na świat, czuję się jej dziwnym, bo starszym od niej, pasierbem.

Czy dostrzegasz jakieś ziarno niepokoju, które mogłoby zakiełkować nowymi ruchami kontrkulturowymi?

- Powodów do niepokoju współczesność nam nie oszczędza. A jeszcze więcej jest powodów do przygnębienia czy poczucia niesmaku - jak choćby przyzwolenie środowiska akademickiego na reformę szkolnictwa wyższego, która z uprawiania nauki chce zrobić biznes, a uczelnie przekształcić w przedsiębiorstwa. Ruchy kontrkulturowe kiełkują nieustannie, ale są to ruchy zlokalizowane, które reagują na konkretny problem w określonym wycinku rzeczywistości: obrona skłotersów, sprzeciw wobec homofobii, protest przeciw wycince drzew. Nie mają ambicji przetworzenia systemu.

A jak zaklasyfikujesz czarny protest? Jak znicze i białe róże na protestach przeciwko

„reformom” sądownictwa? Dlaczego tych ludzi już nie ma na ulicach?

- Czarny protest był właśnie takim buntem przeciw konkretnemu zagrożeniu, próbą załatwienia jednej ważnej sprawy, jaką są prawa reprodukcyjne kobiet, nie wiązał się z żądaniem szerszych zmian politycznych. Ludzi wyciąga dziś na ulice coś, co może im bezpośrednio grozić, jak ograniczenie dostępu do Internetu. Protesty przeciwko zmianom w sądownictwie uwikłane były w doraźną walkę polityczną, dlatego osłabły. Dziś mało kto myśli całościowo. Może takie myślenie jest już niemożliwe?

Czy spodziewasz się jeszcze jakiejś rewolucji?

- Trudno dziś wyobrazić sobie rewolucję, czy to społeczną czy świadomościową. Ale ja miałem to szczęście, że rewolucję przeżyłem, myślę o 1980 roku. Skończyła się wiemy jak, ale tych kilkanaście miesięcy społecznego fermentu, który był także czasem karnawału, odsłoniło mi inną postać życia: radosnego, wspólnotowego i suwerennego. Jeśli dziś możliwe są ruchy zbliżone do rewolucyjnych, to chyba tylko w kręgu ludzi młodych, dopiero wchodzących w życie. Tu może zaistnieć ferment intelektualny, który może przełożyć się na przypisane młodym spontaniczne, naznaczone idealizmem działanie.

Co może ich sprowokować i kiedy?

- Jedyną rewolucję, jaką mogę sobie wyobrazić, rozniecą studenci. Na pewno nie dziś i na pewno nie jutro, ale niewykluczone, że kiedyś. Trudno mi uwierzyć, by młodzi ludzie dłużej godzili się na bylejakość jednowymiarowego życia, na wszechwładzę rynku i kapitału pożenionego, już nawet nie sekretnie, z polityką, na zrzekanie się przez państwo odpowiedzialności za słabszych i potrzebujących, na szokujące dysproporcje między najlepiej a najsłabiej zarabiającymi. Studenci żyją w świecie konfrontacji idei, są pod tym względem elitą, ale nie należą już do grupy ekonomicznie uprzywilejowanej, zasilą raczej szeregi prekariatu i mają tego świadomość - może kiedyś się ruszą.

W pokoleniu lat 90. można zaobserwować coś na kształt rewolucji konserwatywnej.

Dostrzegasz taki rodzaj poruszenia wśród swoich studentów? Masz na to jakąś receptę?

- Ten konserwatyzm, który dostrzegam, z rewolucją nie ma nic wspólnego, powiedziałbym raczej, że jest rezygnacją z prób przebudowy świata. Jest wyrazem utraty wiary w to, że mamy coś do powiedzenia i że coś od nas samych zależy. To ideologia odwrotu, okopywania się na stanowiskach. Wynika z lęku przed światem wielości i zmienności. Zamiast porządek społeczny tworzyć, ci konserwatyści wolą utrzymywać ten, który uznają za dany im z góry, odwieczny i niezmienny.

A może poleciłbyś jakiś ruch kontrkulturowy młodym, jako punkt odniesienia do konstruktywnych działań?

- Żadnych ruchów młodym bym nie polecał, bo młodzi od tego są młodzi, by sobie odpowiednie ruchy sami dobierali. Punktów odniesienia nie brakuje. Niech pokłócą się, na przykład, o dochód podstawowy, niech spróbują go wprowadzić. Niech przejmą od ministrów i rektorów reformę szkolnictwa i wezmą odpowiedzialność za jego przyszły kształt.

W tym kontekście spytam cię o Nobla dla Boba Dylana. Jak wytłumaczysz znaczenie jego tekstów literackiemu malkontentowi?

- O, to proste. Jeśli za miarę dobrej literatury uznać językową kreatywność, to Dylan wyprawia z

angielszczyzną takie hece jak mało kto. Jeśli za miarę dobrej literatury uznać prowadzenie dialogu z wielkimi poprzednikami, to Dylan rozmawia z Szekspirem, Eliotem, Rimbaudem, z biblijnymi prorokami, z beatnikami. Dylan wywarł wpływ na język - wprowadził do angielszczyzny dziesiątki fraz, funkcjonujących dziś jako skrzydlate słowa. Wywarł też wpływ na kolejne pokolenia twórców - bez niego trudno sobie wyobrazić współczesną muzykę rockową, ale i wiele obszarów anglojęzycznej poezji. Choć poglądy Dylana zmieniały się często i radykalnie, pozostaje on dla mnie najlepszym uosobieniem ducha kontrkultury.

Rozmowa ukazała się w marcowym numerze "Kalejdoskopu", w bloku "temat numeru", który brzmi: Rewolucja wyśniona / rewolucja możliwa. Pismo kupisz w punktach Ruchu, Kolportera, Garmond-Press, salonach Empik i w recepcji Łódzkiego Domu Kultury. Tekst udostępniamy bezpłatnie.